Gdynia, 2022 rok

***Wiara czyni cuda***

***- uzdrowienie ze stwardnienia rozsianego za wstawiennictwem***

***błogosławionej Anieli Salawy (1881 - 1922)***

*Bardzo długo zastanawiałam się nad opisaniem mojego świadectwa. Dużo osób, które spotkałam w szpitalach powtarzało mi, żebym moją historię spisała, ale ja przez długi czas się wahałam… Potem poprosiłam Pana Boga o podpowiedź w tej sprawie. 12 listopada 2021 roku, jadąc autokarem na „24h Męki Pańskiej” w Burzynie, moją uwagę zwróciły drogowskazy „Pisz”. Tyle razy mi się pojawiały na drodze, że w myślach zapytałam Pana Boga „o co chodzi, co mam pisać?”. W tym momencie odwróciłam się i zobaczyłam duży napis na mijanym w drodze budynku: „SM Pisz”. Wtedy przypomniało mi się, o co pytałam wcześniej Pana Boga...*

 Wszystko zaczęło się 7 lat temu, w marcu 2015 roku, kiedy miałam 29 lat. Z dnia na dzień po przejściu przeziębienia, podczas prowadzenia lekcji matematyki, przestałam widzieć uczniów. Wszystko widziałam jakby za mgłą. Przed oczami pojawiały się błyski świetlne. Od tej pory każde sto metrów stało się wielkim wysiłkiem, każda praca umysłowa była bardzo wyczerpująca. To był dla mnie cios. Zawsze pełna energii i sił, zaczęłam być chronicznie zmęczona, niewspółmiernie do wykonywanej czynności. Po około czterech godzinach funkcjonowania, musiałam leżeć przez następne dwie – trzy godziny, żeby odzyskać jakąkolwiek sprawność fizyczną i umysłową. Zaczęły się badania, częste wizyty u lekarzy. Dopiero wtedy odkryto wrodzoną wadę serca i nerek. Przeszłam operację wodonercza, po której odżyłam na niecały rok. Miałam więcej sił. Potem znowu na kilka tygodni, miesięcy pogarszał się mój stan zdrowia.. Nauczyłam się z tym żyć, na nowo pokonywać kilometry bez większych odpoczynków. Dostosowywałam moje życie do tych wszystkich ograniczeń, które nakładał na mnie pogarszający się stan zdrowia. Nie poddawałam się. Zawsze w życiu staram się myśleć pozytywnie, a modlitwa w tym mi pomaga. Jeszcze siedem lat temu, patrząc na moje dolegliwości dotyczące nagłego pogorszenia wzroku i męczliwości, jedna z przyjaciółek, Sylwia, zasugerowała, że to może być stwardnienie rozsiane. Pamiętała, że takie same objawy miała jej koleżanka, która chorowała właśnie na SM. Wtedy wypierałam tę myśl... Po kolejnych latach coraz więcej miałam objawów tej choroby. W 2019 roku było coraz gorzej. Do wcześniejszych dolegliwości, doszły codziennie zawroty głowy, brak równowagi, wypadanie z rąk oraz zaburzenia równowagi. Pojawiły się problemy z pisaniem, nie miałam już siły utrzymać długopisu w ręku. Wtedy wiedziałam, że jest źle. Zapisałam się na pierwszą wizytę u neurologa, której termin był w maju...

**13 maja 2019 roku (Święto Matki Bożej Fatimskiej)**

 Wreszcie odbyła się wizyta u neurologa. Nie mogłam się jej doczekać. Kiedy zjawiłam się w poradni, wszystkie miejsca w poczekalni były zajęte. Musiałam stać… Czas dłużył mi się bardzo. Miałam wrażenie jakby podłoga falowała, jakbym chodziła po gąbce… Zawroty głowy pogłębiały się. Już tyle miesięcy trwały te dolegliwości. Zdążyłam przyzwyczaić się do nich.

 Gdy weszłam do gabinetu, lekarka z uśmiechem mnie przywitała i zaczęła przeprowadzać ze mną szczegółowy wywiad. Opowiadałam, jak codzienne zawroty głowy z towarzyszącymi nudnościami utrudniały mi codzienne życie. Wspomniałam o tym, że choruje na zespół Barlowa i miałam operację wodonercza. Nie chciałam jednak mówić, że ponad 4 lata temu z dnia na dzień zaniemogłam, że w jednej chwili wzrok pogorszył się i widziałam jakby za mgłą.Potem zaczęło się badanie fizykalne. Po prawej stronie twarzy poczułam lekki dotyk, a po lewej - mocniejszy. Takie samo wrażenie miałam przy badaniu czucia ramion. Lekarka kilka razy powtórzyła to badanie, ale cały czas słabiej odczuwałam po prawej stronie. Nie miałam pojęcia, co to oznacza. Dostałam skierowanie na tomografię komputerową i rezonans magnetyczny. W pamięci utkwiły mi słowa lekarki: „musimy sprawdzić, co tam się ukryło w pani mózgu”.

Po wyjściu z gabinetu przeczytałam na skierowaniu „niedoczulica twarzowo – ramieniowa prawostronna”. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Ciągle zadawałam sobie to pytanie w drodze do pracy.

**28 maja 2019 roku (wspomnienie błogosławionego Stefana Wyszyńskiego)**

 Po dwóch tygodniach udało się wykonać tomografię komputerową głowy, bo akurat zwolniło się miejsce… Była to moja kolejna tomografia od stycznia …

**12 Czerwca 2019 roku**

 Odbyła się kolejna wizyta u neurologa. Lekarka długo przyglądała się wynikom tomografii komputerowej. Z wyrazu jej twarzy mogłam jedynie wyczytać, że to nic dobrego. Wreszcie smutnym głosem powiedziała: „w pani wieku takie wyniki nie powinny mieć miejsca. Zaniki w mózgu u starszej osoby są normalne, ale nie u tak młodej osoby. Musimy czekać na wyniki rezonansu”. Czułam, że to coś poważnego...

**19 lipca 2019 roku**

 Miałam ciężki dzień. Wykonano mi rezonans głowy w Rumi. Do godziny 13 byłam na czczo. Bardzo słabo się czułam, a do tego moja klaustrofobia… Technik radiodiagnostyk doradził mi, żebym nie otwierała oczu podczas badania, co było dla mnie zbawienne. Podczas czterdziestominutowego leżenia, odmawiałam różaniec. Dałam radę. Czułam się źle psychicznie. Uświadomiłam sobie, co może mnie czekać… Zrozumiałam, że wynik badania będzie decydujący.. Powrotna droga dłużyła mi się … Ciągle pojawiały mi się myśli, że ja już przez chorobę niczego nie osiągnę, że to koniec moich planów na przyszłość. Łzy leciały mi po twarzy... Czułam, że to może być stwardnienie rozsiane.

**30 lipca 2019 roku**

 Ze Skarszew ruszyła kociewska pielgrzymka do Częstochowy, w której brali udział mój brat i przyjaciółka Asia. Mieszkańcy miasta odprowadzali pielgrzymów do Starogardu Gdańskiego. Postanowiłam, że też będę towarzyszyć im na tym odcinku. Chociaż nie miałam zorganizowanego powrotu ze Starogardu, to miałam nadzieję, że na miejscu coś się zorganizuje. Bardzo chciałam prosić Matkę Bożą, by wstawiła się u Pana Boga w mojej sprawie. Pragnęłam, żeby ten nieustający ból i te moje neurologiczne dolegliwości zostały zahamowane.

 Nie wiedziałam, czy dam radę przejść. Przez ostatnie pięć lat mój organizm wytrzymywał dystans siedmiu kilometrów, podczas którego kilka razy musiałam odpoczywać. Dziś trasa miała piętnaście kilometrów. Ale pomyślałam, że Matka Boża Częstochowska pomoże. Tak bardzo chciałam pójść. Śpiewy, modlitwa, atmosfera – wszystko było cudowne. Na twarzach ludzi, mimo zmęczenia, było widać radość, życzliwość i dobroć. Czułam się tak jakbym była bliżej Boga.

 Kiedy przekroczyłam siódmy kilometr, ból mięśni narastał, ogromne zmęczenie dawało się we znaki. Z każdym kilometrem było coraz trudniej. Modliłam się, żeby wytrzymać. I udało się!!! Dzięki Bogu! Atmosfera w grupie pomagała, a zwłaszcza obecność przyjaciółki Asi i brata, Łukasza. Podczas trasy widziałam, jak powrotny autobus odjeżdża… Ale Bóg zatroszczył się o mój powrót w inny sposób. W pielgrzymce brała udział również moja ciocia, po którą przyjechał jej mąż, więc razem z nimi wróciłam do Skarszew. Byłam wyczerpana do kresu sił, ale szczęśliwa, że przeszłam piętnaście kilometrów.

**31 lipca 2019 roku**

 Nie mogłam rano wstać z łóżka, odczuwałam ogromne zmęczenie. Byłam nie do życia. Kolejny dzień wyjęty z życia ...

**12 sierpnia 2019 roku**

 Dzisiaj byłam u neurologa z wynikami rezonansu magnetycznego. Lekarka czytała opis badania przez długi czas. Jej twarz posmutniała. W moim mózgu były ogniska... Nie patrząc mi w oczy powiedziała: „możliwe, że ma pani chorobę, która tłumaczyłaby wszystkie pani dolegliwości, proszę zrobić badanie wzrokowych potencjałów wywołanych (VEP-y).” Nie musiała już nic więcej mówić. Domyśliłam się, co podejrzewa… A po sprawdzeniu w internecie, w jakim celu wykonuje się to badanie, było już wszystko jasne dla mnie. Okazało się, że „jest ono szczególnie cenne w diagnostyce stwardnienia rozsianego”.

Od razu po wyjściu umówiłam się na to badanie. Terminy były bardzo szybkie. Już za dwa dni.

 Wieczorem planowałam pojechać do Częstochowy na ostatni dzień kociewskiej pielgrzymki. Każda podróż była męcząca dla mnie, ale modliłam się, żeby Bóg dał mi siły.

Cały dzień źle się czułam, wszystko działo się w taki sposób, żebym nie pojechała. Ból nie ustępował, ale nie zrezygnowałam z wyjazdu.

**13 sierpnia 2019 roku (Święto NMP Kalwaryjskiej, 28. rocznica beatyfikacji Anieli Salawy)**

 Udało się! Około godziny 6.00 po nieprzespanej nocy w pociągu, przyjechałam do Częstochowy Stradom. Byłam bardzo zmęczona, ale cały czas modliłam się, żeby Matka Boża dała mi siły. Z dworca PKP ruszyłam pieszo na Jasną Górę. Błoto, ulica, nieoznakowana droga... Tylko na chwilę włączyłam GPS, żeby bateria się nie rozładowała. Potem kierowałam się za innymi turystami. O 7:00 byłam na miejscu. Cieszyłam się bardzo, że przyjechałam mimo mojego stanu i wczorajszego złego samopoczucia. Od razu weszłam do Kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej. Modliłam się chwilę, potem przeszłam do Bazyliki. Duszności i zawroty głowy pogłębiały się, przez co musiałam wyjść. I wtedy usłyszałam z daleka jak pielgrzymi wchodzą na Jasną Górę. To byli oni: Łukasz i Asia z pielgrzymką kociewską. Wtedy pomyślałam, jak bardzo chciałabym w przyszłości przejść całą taką pielgrzymkę.

 Ponownie poszłam do Kaplicy. Modliłam się, żeby moje dolegliwości ustąpiły, bo stawały się bardzo uciążliwe. Chciałam, żeby lekarze postawili mi wreszcie dobrą diagnozę i zaczęli mnie odpowiednio leczyć, by przynosiło to efekty. Prawie przez pięć lat konsultowałam się z wieloma lekarzami, miałam różne badania i operację, a nadal źle się czułam. Często po krótkiej poprawie zdrowia następował rzut nowych dolegliwości, po którym było ze mną coraz gorzej. Modliłam się również o uzyskanie urlopu zdrowotnego. Byłam zła na siebie, że nawet nie mogę przejść na klęcząco przy obrazie Matki Bożej jak inni pielgrzymi. Bardzo mnie irytowało, że duże uczucie gorąca i duszności nie pozwalały mi dłużej modlić się. Ale z drugiej strony bardzo się cieszyłam, że Bóg dał mi siłę, by tu przyjechać!

 Mimo wysokiej temperatury mogłam uczestniczyć we mszy świętej. Przed jej rozpoczęciem zdążyłam opowiedzieć Asi, że następnego dnia czeka mnie badanie Vep-ów, które są wykonywane w diagnostyce stwardnienia rozsianego. Skomentowała, że „ta lekarka na pewno przesadza”. Chciałam, żeby słowa Asi okazały się prawdą, ale czułam, że to SM.

 Około 16.00 wracaliśmy pociągiem do domu. Była to trudna droga, czułam chroniczne zmęczenie. W nocy dotarłam z bratem do Gdyni. Pojechaliśmy taksówką, bo już nie miałam sił czekać na przyjazd autobusu. Byłam wyczerpana…

**14 sierpnia 2019 roku (wspomnienie św. Maksymiliana Marii Kolbe)**

 Nie mogłam wstać z łóżka. Nie miałam sił na nic. Nawet nie zamknęłam drzwi, gdy brat wychodził ode mnie. Czułam takie ogromne zmęczenie, jakby ktoś zabrał mi całkowitą energię, jakbym „rozładowała się”.

 Około 15.00 po wielu próbach, wstałam. O 17.00 miałam badanie (VEP-y) w centrum Gdyni.

Wynik mieścił się w górnej granicy- latencja 106 i 108, amplituda 5. Pomyślałam od razu, że modlitwy w Częstochowie już zostały wysłuchane, bo wyniki nie były złe. Dziękowałam za to Bogu.

**19 sierpnia 2019 roku**

 Miałam kolejną wizytę u neurologa. Lekarka zobaczyła wynik i postanowiła, że będę pod obserwacją. Poczułam ulgę, że to nie musi być wcale stwardnienie rozsiane.

**21 sierpnia 2019 roku**

 Wcześnie rano pojechałam z koleżanką Wandą na komisję lekarską w sprawie otrzymania urlopu dla poratowania zdrowia. Już w czerwcu otrzymałam zgodę na ten urlop od lekarki medycyny pracy, ale niestety odwołano się i przez całe wakacje byłam w niepewności co mnie czeka we wrześniu….

 Podczas drogi zastanawiałam się, jakbym mogła wrócić do pracy we wrześniu, jeśli cały czas czułam się bardzo źle… Miałam nieustające zawroty głowy, a „wyłącznik mojej energii” był bardzo uciążliwy. Codziennie rezerwowałam sobie kilka godzin na przymusowy odpoczynek. Tyle godzin wyjętych z życia…

 Rozmyślałam nad poprzednim rokiem szkolnym… Choroba, operacja czteroletniej siostrzenicy, która cudem przeżyła dzięki Bogu, śmierć babci, problemy i liczne obowiązki w pracy... W czerwcu już nie mogłam utrzymać długopisu w ręku. Popełniałam błędy podczas pisania, również w swoim nazwisku. Pogorszył się mój styl pisania. Źle wypełniłam dyplomy na zakończenie roku szkolnego. Pomyliłam imiona uczniów. Dzięki pomocy moich wychowanków mogłam na czas oddać wypełnione dokumenty szkolne. Zapominałam wzory matematyczne, co było dla mnie nie do przejścia. Nie wiedziałam co się dzieje z moją pamięcią i koncentracją.

 Ogromnie się stresowałam, czułam duży niepokój przed tą komisją. Lekarka przeprowadziła ze mną wywiad i badanie. Była oschła… Zaobserwowała, że prawdopodobnie miałam problemy z tarczycą. Zleciła mi wizyty u kardiologa, neurologa i wyznaczyła kolejne terminy komisji. W mojej głowie kłębiły się różne pytania: dlaczego takie utrudnienia mam z tym urlopem? O co chodzi Panie Boże, przecież ten urlop jest mi potrzebny? Nie rozumiałam tego. Miałam chwile zwątpienia, ale potem pomyślałam, że przecież jeszcze mogę dostać urlop, jeszcze nie powiedzieli „nie”!

 Tego samego dnia miałam jeszcze wizytę u kardiologa. Kilka godzin czekania… Lekarz powiedział, że muszę mieć aktualne badanie echo serca i holter, a także ekg. Dodał, że „jeśli odwołano się od decyzji lekarki medycyny pracy, to znaczy, że mi nie ufają, dlatego teraz muszę udowodnić, że jestem chora”. Byłam w szoku. A lekarka, która miała zdecydować, czy dostanę urlop, dodatkowo skomentowała, że „te badania powinnam zrobić w kilka dni, bo przecież to Pani zależy na urlopie, a nie nam”. Byłam wściekła. Chciałam zrezygnować z tego urlopu. Skąd miałam wziąć pieniądze na tyle prywatnych badań?

 Najbliżsi pocieszali mnie. Tak bardzo mnie wspierali psychicznie, żebym się teraz nie poddawała. I to mi pomogło. Nie poddałam się.

 Tego dnia, serce dawało mi się we znaki, dlatego od razu poszłam do przychodni zrobić ekg. Były problemy z wykonaniem badania, ale ostatecznie dzięki Bogu, pielęgniarka zrobiła je. Ekg wykazało tachykardię.

**22 sierpnia 2019 roku (Wspomnienie Najświętszej Maryi Panny Królowej)**

 Cudem udało mi się umówić dzisiaj na badanie holtera i echo serca. Wszystko jednego dnia!

Wynik badania echo serca okazał się lepszy niż poprzedni, co bardzo mnie ucieszyło.

 Tego dnia również znalazły się pieniądze na wszystkie badania, które miałam wykonać. Pan Bóg się tym zajął. Dzięki pomocy przyjaciół, brata i dyrektora szkoły mogłam się przebadać.

**23 sierpnia - 16 września 2019 roku**

 Nastał ciężki okres, wykonywałam badania za badaniami. Doskwierał mi nieustanny stres i pytanie: co będzie dalej? Ostatnie posiedzenie komisji miało odbyć się 18 września...

Holter serca wykazał wiele arytmii, tachykardii a nawet pojawiła się bradykardia… Maksymalna częstość rytmy serca wynosiła 196 uderzeń na minutę i to bez wysiłku fizycznego.

Laryngolog mówiła,że moje zawroty mogą być spowodowane chorobą Meniera’a. Na szczęście badanie słuchu wyszło prawidłowe. Pani wykonująca to badanie, zdziwiła się, że nie ucieszyłam się z dobrych wyników. A ja tak bardzo chciałam, żeby zdiagnozowali mi coś innego niż stwardnienie rozsiane…

 Z wynikami poszłam do innego laryngologa, ze względu na dostępny termin. Lekarka zaobserwowała, że mam silne zawroty głowy i nigdy nie mogę w ciemności stać na brzegu pagórka, bo spadnę. Po obejrzeniu płytki CD z wynikiem rezonansu magnetycznego stwierdziła, że mam dużo wad w mózgu, więc nie dziwi mi się, dlaczego mam takie zawroty. Doradziła mi, jakie ćwiczenia mam wykonywać, żeby objawy się zmniejszyły. Jako kolejna lekarka zasugerowała, żebym zrobiła usg tarczycy. Na koniec wizyty skomentowała, że „niestety nie otrzymam urlopu zdrowotnego na żadną moją chorobę, nawet gdybym miała stwardnienie rozsiane, bo to nie są choroby zawodowe”. Nie przejęłam się tym. Pomyślałam, że lekarka medycyny pracy mówiła mi co innego.

 U neurologa z komisji w Gdańsku usłyszałam, że nie widać u mnie zawrotów głowy. Byłam w szoku! Od wielu miesięcy borykałam się z nimi, traciłam równowagę, a lekarka powiedziała, że żadnych zawrotów nie mam?! Stwierdziła również, że żadnego stwardnienia rozsianego na pewno też nie miałam. Ta ostatnia wypowiedź mnie uspokoiła.

 Udało mi się jeszcze zrobić badania na tarczycę. Usg wykazało najpierw za małą tarczycę, a za drugim razem, że jest za duża. Wynik tsh był nieprawdopodobny. Wartość mniejsza niż 0,008 jednostek!!! Lekarz rodzinny od razu dał skierowanie na cito do endokrynologa i dawkę 10mg Thyrozolu, ze względu na możliwość nadczynności tarczycy. Terminy wizyt były za 2 miesiące…

 Zbliżał się nieubłaganie czas wizyty na komisji w sprawie urlopu… Cały czas myślałam, jakie jeszcze badanie, jakie jeszcze zaświadczenie... Zastanawiałam się, czy jeszcze coś mogłabym zrobić. Ale nie! Ja już nie miałam pieniędzy ani sił na załatwianie tych spraw. Ile można??? Jedyne co chodziło mi cały czas po głowie, to ostatnia wizyta prywatna u neurologa. Termin na 17 września…Tak mocno czułam, że mam iść do tej lekarki...

**17 września 2019 roku (święto stygmatów św. Franciszka z Asyżu)**

 Byłam bardzo wykończona. Pomyślałam, ile trzeba mieć sił, żeby chorować i chodzić na konsultacje do lekarzy??? Tyle miesięcy, tyle lat złego stanu zdrowia z przerwami na lepsze samopoczucie i nadal nikt do końca nie postawił diagnozy???! A ja ciągle coraz gorzej się czułam…

 Do neurologa przyjechałam około 11.30, przed czasem. Wyszła lekarka i powiedziała, że akurat pacjent odwołał wizytę i może mnie przyjąć wcześniej. Skrupulatnie przejrzała wszystkie wyniki. Bardzo dokładnie mnie zbadała. Zauważyła jakiś niedowład po prawej stronie, nawet na twarzy podczas uśmiechania… Powiedziała, że nie może pozwolić, żebym tak długo czekała na wizytę u endokrynologa, mając złe wyniki. Niepokoiły ją również moje nieustanne zawroty głowy, dlatego zadzwoniła po karetkę, żeby mnie zawieźli na SOR w Akademii Medycznej. Uspokoiła mnie, że nie mam się niczym martwić, bo w szpitalu zbadają mnie i pomogą. Dodała, że gdyby od razu chcieli mnie zostawić w szpitalu, to mam się zgodzić. Wizyta trwała 1,5 godziny.

 Około 13.00 już byłam w karetce pogotowia. Dziwnie się czułam, zawroty pogłębiały się. Czułam, jakby coś dziwnego się działo, ale nie wiedziałam co... Nigdy wcześniej nie byłam na SORze. W rejestracji szybko spisali moje dane. Chwilę czekałam aż pierwsza lekarka mnie przyjęła. Zrobiła wywiad, przeczytała skierowanie od neurologa i skierowała mnie do internisty. Dziwiła się, że będąc w moim wieku, miałam już tyle chorób.

 Internista jak mnie zobaczył zażartował, że mnie nie przyjmie, bo takie młode osoby nie mają prawa być w szpitalu. Jednak podczas badania fizykalnego neurologicznego jego mina zmieniła się... Patrzył na mnie współczującym i zmartwionym wzrokiem. Czułam, że coś nie tak… moja prawa ręka i noga opadały, nie mogłam ich utrzymać w jednej pozycji. Pobrano mi dużo krwi.

 Czekała mnie jeszcze wizyta u endokrynologa i neurologa. Goniec szybko przyszedł po mnie i zaprowadził na oddział endokrynologiczny. Lekarz podczas wywiadu i badania stwierdził, że wszystko wskazuje na chorobę Gravesa – Basedowa. Powiedział, że musiałam przeżyć ostatnio silny stres, skoro przez pięć miesięcy moje TSH tak drastycznie spadło. Zalecił badania, przepisał leki i wizytę w poradni endokrynologicznej. Dodał, że jeśli dwuletnie leczenie nie pomoże, to będę musiała poddać się terapii jodem, albo wyciąć tarczycę. Podkreślił, że mój niedowład nie jest spowodowany chorobami tarczycy. Przyjęłam to spokojnie. Wiedziałam doskonale, że przyczyną choroby był stres w tym ostatnim czasie.

 Skierowano mnie do neurologa. W międzyczasie zrobiono mi tomografię komputerową. Wszyscy byli tam bardzo mili. Nie byłam przygotowana do badania, ale to w niczym nie przeszkadzało. Kiedy już przyszedł lekarz do gabinetu, od razu zadał pytanie: „czy naprawdę Pani czuje, żeby coś złego działo się z Pani ręką?” Opowiedziałam o swoich trudnościach, o wypadaniu rzeczy z ręki, o niemożliwości utrzymania długopisu itp.

Neurolog kazał zrobić mi kilka kroków, poruszać palcami oraz prawą ręką. Potem zobaczył wypis od endokrynologa i wynik tomografii głowy. Bez szczegółowego wywiadu, spojrzał na mnie i z troską w głosie zaprosił mnie na tydzień do szpitala. Zapewnił, że przebadają mnie tam i pomogą. Kazał zawiadomić rodzinę, by przywieźli mi potrzebne rzeczy, bo koniecznie miałam tam zostać. Chciał tylko sprawdzić, czy jest na pewno wolne miejsce dla mnie. Od razu zorientowałam się, że mam rozładowany telefon, więc bez zastanowienia, zapytałam lekarza, czy ma może ładowarkę. Neurolog był bardzo życzliwy i chciał mi nawet pożyczyć swój telefon, gdyby nie pasowała jego ładowarka lub od innej osoby.

 Potem pojawiła się myśl, że przecież czeka mnie następnego dnia komisja lekarska i pobyt w szpitalu skomplikowałby sprawę...

 Wyszłam na korytarz. Dzięki uprzejmości innej pacjentki, mogłam naładować telefon jej ładowarką. Czekając na neurologa, zadzwoniłam do mamy. Były jakieś zakłócenia, przez które nie mogłam wszystkiego przekazać co tu usłyszałam od lekarza.

Zrobiło się późno. W ogóle nie czułam głodu, tylko piłam sok. Wreszcie neurolog wrócił z oddziału i zaprosił mnie ponownie do gabinetu. Niestety nie było wolnego miejsca w szpitalu...

Spojrzał na mnie, potem wzrok skierował na podłogę i zaczął mi wyjaśniać: „pani ma chorobę ...” – przerwał na chwilę - ale są na nią leki … Ma pani ogniska w mózgu… A czy w ogóle pani nie ma wrażenia, że objawy występują rzutami? Czy nie miała pani problemów z zaburzeniami widzenia?”

Wtedy już wiedziałam podświadomie, co mi lekarz chciał powiedzieć… Potwierdziłam, że tak było, że moje dolegliwości pojawiały się rzutami. Opowiedziałam mu jak kiedyś w jednej chwili pogorszył się mój wzrok i widziałam tylko jakby za mgłą.

Po moich słowach, lekarz nie patrząc na mnie, oznajmił, że mam… stwardnienie rozsiane!

Moja pierwsza reakcja, to był uśmiech i zaprzeczenie. Powiedziałam, że to niemożliwe. Wyjaśniłam mu, że na komisji lekarskiej, neurolog wykluczyła u mnie tę chorobę. Tyle razy już myślałam, że to mam, a teraz jak padła taka diagnoza, zaprzeczałam… Lekarz też się uśmiechnął i tłumaczył, że tam na komisji człowiek jest zawsze zdrowy. Dodał, że on jest pewien swojej diagnozy. Ale zapewnił, że nie będę jeździła na wózku.

 Wyszłam z gabinetu jakby nic, jakby nie docierało do mnie, co przed chwilą usłyszałam. Czekałam na wypis. Ta sama pacjentka, która pożyczyła mi ładowarkę, zaczęła ze mną rozmawiać. Mówiła, że długo mnie obserwowała i zastanawiała się, co ja tu robię. Uznała, że wyglądam na osobę zdrową. Była pierwszą osobą, której opowiedziałam o diagnozie. Po 21.00 dostałam wypis, na którym zapisano: „najprawdopodobniej stwardnienie rozsiane”. Ulżyło mi. Cieszyłam się, że nie było napisane „zdiagnozowano SM”. Neurolog zapewnił mnie, że zrobi wszystko, żebym jak najwcześniej trafiła na leczenie do szpitala.

Przyjechali po mnie Wanda i jej ojciec. Powiedziałam jej, że wstępna diagnoza to SM. Ale ile razy były takie przypuszczenia...

Kiedy przyjechałam do domu, przed snem zerknęłam jeszcze na wystawione skierowanie do szpitala. Było napisane czarno na białym” „rozpoznanie: G.35. Stwardnienie rozsiane. Dalsze leczenie w szpitalu”. Wtedy dopiero zrozumiałam, że to już nie tylko przypuszczenia… Zaczęłam płakać...

Było już mi obojętne, co powiedzą na komisji następnego dnia. Miałam ważniejszy problem.

W internecie sprawdziłam, że lekarz, który dał mi tę diagnozę, to teolog i najlepszy neurolog w województwie pomorskim. Nie miałam już żadnych wątpliwości. W tak krótkim czasie on zdiagnozował to, co innym lekarzom nie udało się przez prawie pięć lat...

**18 września 2019 roku (święto Stanisława Kostki)**

 Pojechałam na komisję lekarską do Gdańska. Podczas oczekiwań na wizytę, zadzwonił do mnie neurolog z SORu. Przekazał, że udało mu się zapisać mnie na listę do szpitala w sprawie dalszego leczenia SM. Obiecał ponownie, że jeszcze w tym roku znajdzie się dla mnie termin przyjęcia. Znowu musiałam czekać…

Po chwili weszłam do gabinetu lekarskiego. Lekarka przejrzała wszystkie aktualne wyniki i zaczęła umawiać mnie do kolejnych lekarzy. To już było dla mnie za dużo… Jakie badania? Znowu??? Wyjęłam wczorajsze skierowanie ze szpitala i pokazałam jej… Nie mogła się doczytać. Wskazałam palcem,, ale lekarka dalej nie mogła przeczytać. Kiedy sama powiedziałam jakie jest rozpoznanie choroby, głos mi zadrżał. Rozpłakałam się i nie mogłam przestać. Nagle weszła pani z sekretariatu. Lekarka zwróciła się do niej: „proszę odwołać dzisiejszego kardiologa dla tej pani i inne wizyty. Już wystarczająco wiem, że ta pani potrzebuje urlopu zdrowotnego” i zaczęła mnie pocieszać.

Wreszcie dostałam urlop dla poratowania zdrowia... Po tych wszystkich przejściach nie czułam radości ani żadnej ulgi. Jakby nic do mnie nie docierało…

Po południu trochę ochłonęłam. Postanowiłam, że zrobię to, co umiem najlepiej: będę myśleć pozytywnie! Tłumaczyłam sobie, że w szpitalu badania mogą wykazać coś innego. A nawet jak potwierdzą diagnozę, to najważniejsze, że wiadomo, co mi dolega. Dzięki czemu po tylu latach niejasności, będzie można zacząć odpowiednie leczenie. A o to mi przecież chodziło! Najważniejsze, że będzie wiadomo, jak mi pomóc. Postanowiłam normalnie żyć… normalnie z tymi samymi dolegliwościami co wczoraj, co tydzień temu: chciałam się umawiać ze znajomymi, zapraszać bliskich do siebie, wychodzić do kina, teatru, rysować i wszystko to, na co pozwalał mi jeszcze niedowład… Nie chciałam zamknąć się w czterech ścianach i zamartwiać się…

**19 września 2019 roku**

 Pojechałam zawieźć skierowanie do szpitala. Obecny tam lekarz oznajmił, że lista oczekujących jest długa. Prawdopodobny termin to luty. Bardzo się zdziwiłam, bo przecież miałam jeszcze w tym roku dostać się do szpitala... Zaczęłam się obawiać, czy do tego czasu nie pojawi się kolejny rzut choroby… Znajomi proponowali inne, odległe od Trójmiasta kliniki. Ale głęboko w sercu czułam, że mam poczekać na tę w Gdańsku.

**15 października 2019 roku**

 Rano zrobiłam kontrolne badania krwi. W poczekalni kolejny raz wpadłam na ludzi, nie mogłam utrzymać równowagi. Miałam już dość... Zadzwoniłam do Akademii Medycznej. Okazało się, że już jest termin pobytu w szpitalu wyznaczony na 8 grudnia. Ucieszyłam, że jeszcze w tym roku lekarze mi pomogą, tak jak obiecał mi neurolog na SORze. Poinformowałam o tym Asię, z którą za trzy dni miałam pojechać do Krakowa.

Kiedy dowiedziała się, że mam taki termin, to radośnie powiedziała: „nie mogę uwierzyć! Lucyna, przecież to Pan Bóg daje ci znaki, że ma cię w opiece i zostaniesz uzdrowiona. Akurat 8 grudnia jest uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i ty właśnie tego dnia będziesz w szpitalu. Zobaczysz, po pobycie w Łagiewnikach już ten szpital nie będzie Ci potrzebny!”.

Dla mnie te słowa były wtedy jeszcze abstrakcyjne... Nie widziałam tych znaków, ale zaczęłam się nad nimi zastanawiać...

**18 października 2019 roku (wspomnienie św. Łukasza, patrona służby zdrowia)**

 Dziś wreszcie udało się przyjechać do Krakowa, do mojego ukochanego miasta. Tak bardzo chciałam tu przyjechać póki jeszcze miałam siły.Znajoma Pani z Częstochowy poleciła nam nocleg u jej rodziny w Krakowie. Ta wiadomość spadła mi i Asi jak z nieba. Tak bardzo byłyśmy wdzięczne tej pani i temu małżeństwu, że nas przyjęli na nocleg.

Gdy weszłam do pokoju, gdzie nocowałyśmy, słońce oświetlało całą przestrzeń. Na regale wśród wielu dużych obrazków, moją uwagę zwrócił najmniejszy z nich, na której był wizerunek jakiejś świętej. Nie znałam jej, ale wydawała mi się taka znajoma. Wzięłam ten obrazek do ręki i przeczytałam napisane na nich słowa **"Żyję, bo chcesz, umrę kiedy chcesz, zbaw mnie, bo możesz".** Poczułam ciepło przechodzące przez ciało i uśmiechnęłam się sama do siebie. Miałam wrażenie, że te słowa mnie dotyczą, a obrazek jest mi bliski. Odłożyłam go na miejsce. Pomyślałam, że Pan Bóg tak chce i on zdecyduje co dalej… Poczułam, że mam zaufać Panu, on mnie poprowadzi w mojej chorobie. Nikomu nic o tym nie wspomniałam.

**20 października 2019 roku**

 To był już ostatni wieczór w Krakowie. Właścicielka domu, gdzie nocowałam podeszła do mnie i wręczyła mi obrazek... To był ten sam, który wzięłam do ręki pierwszego dnia!!! Uśmiechnęłam się, a pani zaczęła mówić, że mam się modlić za wstawiennictwem tej błogosławionej Anieli Salawy, bo ona jest patronką osób niepełnosprawnych oraz ... chorych na stwardnienie rozsiane i mi pomoże. Właścicielka podkreśliła, żebym pojechała do kościoła pw. błogosławionej Salawy w Krakowie.

Okazało się niestety, że ten kościół był za daleko od dworca, z którego miałyśmy rano pociąg. Na szczęście z koleżanką znalazłyśmy kościół z relikwiami tej błogosławionej. Zdziwiłyśmy się bardzo, że jest on naprzeciwko ulicy Franciszkańskiej, gdzie tyle razy przechodziłyśmy. Nie wiedziałyśmy, czy zdążymy. Ale pomyślałam sobie wtedy, że jak mamy tam być, to wszystko się uda. Czułam ogromną radość w sercu, czułam, że mam pojechać do tego kościoła.

**21 października 2019 roku**

 Rano wyruszyłyśmy szybko, nie musiałyśmy czekać na żadną przesiadkę, wszystkie autobusy od razu podjeżdżały. Gdy tylko weszłyśmy z bagażami do Bazyliki Franciszkanów na placu Wszystkich Świętych, nogi same zaprowadziły mnie do relikwii błogosławionej Anieli Salawy. Zaczęłam się przy nich modlić o zahamowanie dolegliwości i leczenie przy odpowiedniej diagnozie. Poczułam wtedy rozchodzące się ciepło wewnątrz całego ciała i silne kołatanie serca. Ale tym razem nie zabrało mi to jak dotychczas energii, wręcz odwrotnie, dawało radość i siłę. Poczułam w tej chwili błogi spokój związany ze stwardnieniem rozsianym. Odczytałam to jako znak od Boga, że dam radę przejść przez ten trudny okres i nie mam się martwić. Czułam, że mam najlepszą Boską opiekę i nie mam się bać. Całkowicie zaufałam Bogu. Zaakceptowałam moją chorobę. Odtąd o chorobie mogłam mówić bez większego lęku. Kiedy momentami w bólu pojawiały się łzy, słowa „Jezu ufam Tobie” uspokajały mnie. Z wiarą wszystko znosi się łatwiej.

**28 października 2019 roku**

 Mój stan się pogorszył. Ciągle bolały mnie mięśnie. Nie wiedziałam co się dzieje. Masaż całego ciała zniwelował ból na kilka godzin… Potem znowu wrócił...

**16 listopada 2019 roku (święto NMP Ostrobramskiej, Matki Miłosierdzia)**

 Źle się czułam. Pewnie choroba Gravesa – Basedowa dawała o sobie znać. Wyniki tsh zmieniały się co chwilę.. Z wartości poniżej 0,5 wzrosły do prawie 19 jednostek. Długo musiałam leżeć, żeby zregenerować siły. Miałam nadzieję, że chociaż do wieczora poprawi się mój stan. Na szczęście tak się stało. Pojechałam nad morze, co zawsze dodawało mi sił. Nie mogłam napatrzeć się na piękno fal w blasku księżyca. Zastanawiałam się, czy kiedyś jeszcze przed szpitalem będę mogła tam przyjechać… Był to niezapomniany spacer. Chciałam na zapas nacieszyć się widokiem morza. Ale niestety potem przyszło straszne osłabienie…

**4 grudnia 2019 roku**

 Nie mogłam utrzymać równowagi, przewróciłam się o własne nogi na płaskiej powierzchni w domu. Nie wiem co się stało… Chyba musiałam zahaczyć noga o nogę i runęłam na podłogę... Było mi ciężko. Nie mogłam doczekać się leczenia, żeby te upadki, a zwłaszcza przeszywający ból w nocy, ustał. Ile to jeszcze razy będę się budzić w nocy z bólem mięśni, z bólem w odcinku lędźwiowym??? Ile razy będę płakać z bólu?? W takich momentach zawsze modliłam się, powtarzałam „Jezu Ty się tym zajmij”, co przynosiło mi ukojenie. Ból stawał się mniejszy. Potem był kolejny dzień i nadzieja na lepsze jutro. Czasem nawet mówiłam, że jeszcze z tej nieuleczalnej choroby się wyleczę, bo przecież nie ma rzeczy niemożliwych!

**5 grudnia 2019 roku**

 Zbliżał się termin pobytu w szpitalu. Poszłam do kina. W filmie zaakcentowano stwierdzenie: „to nie choroba zabija, ale strach przed tą chorobą”, które bardzo mocno utkwiło mi w pamięci.

Po południu nastąpiło załamanie pogody, zamieć śnieżna i pojedyncze grzmoty. Gdy rozpogodziło się, zobaczyłam jak słońce przebija się przez ciemne chmury. Chciałam, żeby tak się stało też w moim życiu. Pragnęłam, żeby po burzy wyszło słońce i to cierpienie minęło.

**8 grudnia 2019 roku (uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP)**

 Godzina 12.00. Brat z mamą odwieźli mnie do szpitala. Podczas podróży modliłam się. Na miejscu pielęgniarka i lekarz dyżurujący przeprowadzili ze mną wywiad. Mimo, że na skierowaniu było napisane „dalsze leczenie”, postanowiono, że zrobią kolejne badanie rezonansu, punkcji, VEP-ów i innych diagnostycznych badań.

**9 grudnia 2019 roku**

 Po obchodzie lekarzy odbywały się kolejne wizyty studentów medycyny. Tyle razy miałam robione te badania, że znałam już je na pamięć. Dzięki czemu mogłam nawet podpowiadać studentom co po kolei powinni robić. Przełożona pielęgniarek nazywała mnie gwiazdą, bo wszyscy chcieli mnie badać i przeprowadzać wywiady. Zdarzało się, że studenci pomimo wyjścia z mojej sali, wracali, żeby dowiedzieć się kolejnych szczegółów z historii mojej choroby. Ciekawił ich mój przypadek. Kiedy sprawdzano mi czucie po prawej stronie ciała, nie mogłam z zamkniętymi oczami odróżnić ostrego narzędzia od tępego, ciepłego od zimnego. Dla mnie każdy dotyk wydawał się bardzo podobny. Pacjentka leżaca obok mnie, stwierdziła, że coś nie tak musi być z moją równowagą, bo mając zamknięte oczy, nie umiałam przejść prosto wzdłuż sali. A mi się wydawało, że szłam prosto… Dopiero tam w szpitalu zobaczyłam jak duże mam zaburzenia czucia i równowagi. Kiedy szłam z koleżanką po schodach, o mały włos nie upadłam. Na szczęście przytrzymała mnie i nic złego się nie stało… Było coraz gorzej...

 Po południu zrobiono mi USG Dopplera przezczaszkowe. Okazało się, że mam cechy przecieku żylno – tętniczego w stopniu minimalnym. Lekarka stwierdziła,że to co w sercu zrasta się u noworodków u mnie nie nastąpiło. Na drugi dzień miałam mieć rezonans i punkcję.

**10 grudnia 2019 roku (uroczystość Najświętszej Maryi Loretańskiej)**

 Rano wykonano mi badanie dna oka. Mówiono, że jeśli wszystko jest dobrze, to badanie będzie trwało co najwyżej 15 minut. U mnie zajęło to o wiele więcej czasu... Co chwilę okulistka sprawdzała mi coś w oku. Okazało się, że mam znamię barwnikowe...

Około 13.00 miałam robioną punkcję lędźwiową. W gabinecie oprócz lekarzy byli studenci, którzy przypatrywali się jak wykonywany był zabieg. Na początku pojawił się problem z wkłuciem igły między kręgami. Bardzo bolało. Zaczęłam w myślach mówić "Jezu, ufam Tobie". Po chwili przyszła do pomocy pielęgniarka. Przechyliła moją głową maksymalnie do kolan. Wtedy zauważyłam, że na ręce ma bransoletkę z krzyżykiem. Uśmiechnęłam się. Dzięki Bogu za drugim razem bez problemu udało się pobrać płyn.

 **11 grudnia 2019 roku**

 Podczas rannego obchodu lekarskiego, neurolog przebadała mnie ponownie. Potem długo zastanawiała się nad czymś... Zdecydowała, że już może mnie wypisać. Pobrano mi jeszcze krew. Po 15.00 mogłam wyjść ze szpitala. Za dwa tygodnie miałam przyjechać po wyniki. Ból głowy i kręgosłupa nasilił się. Dzięki życzliwości koleżanki z pracy, mogłam szybko wrócić do domu. Zatroszczyła się nawet, żebym miała co jeść po powrocie.

 Kiedy czytałam wypis ze szpitala, niczego nie rozumiałam… Zastanawiałam się, dlaczego nie zrobili mi rezonansu głowy, skoro był już zaplanowany… Dlaczego wypisali mnie po kilku dniach, a przecież na skierowaniu było, że mają mnie leczyć? Dlaczego tak bardzo mnie bolało po punkcji? Dlaczego po raz kolejny coś nowego mi wykryto? Najbardziej zmartwiłam się znamieniem barwnikowym w oku.

Cały wieczór przepłakałam, gdy przeczytałam co to może być. Nie mogłam się uspokoić, bo mógł to być czerniak. I wtedy jedna z przyjaciółek, Ania, napisała mi, że zamartwianie się, stresowanie tu nic nie zmieni. A jedynie powoduje, że zadręczam się, co pogarsza mój stan zdrowia. Chociaż najpierw zdziwiły mnie te słowa, to potem zrozumiałam jakie były one mądre i prawdziwe. Dużo dla mnie znaczyły. Starałam się już tym tak bardzo nie przejmować. Zaczęłam się modlić i to mnie też bardzo uspokoiło.

**18 grudnia 2019 roku**

 Mimo wielkiego bólu popunkcyjnego zrobiłam usg oka, które na szczęście nie wykazało żadnych zmian. Ulżyło mi bardzo!!! Dzięki Bogu! Z wynikami poszłam na prywatną wizytę do okulistki. Znamię nadal było, ale było już płaskie. Lekarka kazała się nie przejmować nim na razie. Powiedziała, że mam zająć się problemami neurologicznymi, bo one są teraz najważniejsze. A dopiero za trzy miesiące miałam przyjść do kontroli.

**23 grudnia 2019 roku**

 Od kilku dni czekałam na wyniki ze szpitala… Od czwartku nie mogłam się dodzwonić do mojej lekarki z Akademii Medycznej. Gdy już się udało, okazało się, że akurat tego dnia nie pracuje pani neurolog. Dlatego dzień przed wigilią postanowiłam osobiście pojechać po wyniki. Czułam, że powinny już być. Ból głowy i kręgosłupa prawie całkowicie zmalał. Przed Akademią weszłam do kościoła Matki Bożej Częstochowskiej. Pomodliłam się, pomyślałam "Jezu, ufam Tobie". Mówiłam, żeby stało się według woli Boga. Całkowicie oddałam wyniki tych badań Bogu.

 Te niecałe dwa tygodnie leżenia w bólu popunkcyjnym było po coś. Miałam czas na przemyślenia. Zrozumiałam jak bardzo potrzebuje pomocy w moim położeniu, że nie mogę być taka niezależna. Teraz zmuszona byłam leżeć i nic innego już nie mogłam robić. Zero przygotowań do świąt, zero porządków, zero pracy. Po prostu samo leżenie. I świat się nie zawalił. Nic już nie musiałam... Zdrowie ważniejsze. Przez ten czas zawsze ktoś przyszedł, ugotował obiad, pomógł. Ja nie byłam w stanie sama tego zrobić. Kilka minut stania powodowało straszny ból głowy i kręgosłupa, który mijał tylko przy leżeniu. Obiecałam sobie, że już nigdy nie będę robiła ponad swoje siły, nigdy już nie będę brała na siebie tyle obowiązków. Nikt nie zwróci nam zdrowia, a tylko my możemy o nie zadbać. Każde moje przeciążenie obowiązkami kończyło się rzutem choroby. Postanowiłam, że nigdy więcej nie będę tak robić!

 Lekarka na szczęście była w swoim gabinecie. Wydrukowała wyniki badań. Niestety były obecne prążki oligoklonalne w płynie mózgowym. Dodatkowo miałam złe wyniki na przeciwciała dotyczące chorób tkanki łącznej, więc nie mogła podać ostatecznej diagnozy. Kazała skonsultować się z reumatologiem, a potem pójść do poradni neurologicznej.

Zapytałam tylko, czy obecność tych prążków może świadczyć o SM. Lekarka ze smutnym wzrokiem powiedziała, że one są typowe dla stwardnienia rozsianego. Na skierowaniu do poradni widniała diagnoza: „ostre rozsiane demienilizacje rdzenia i mózgu”.Czekały mnie kolejne badania, konsultacje... Ale wtedy pomyślałam, że przecież przed chwilą modliłam się, zawierzyłam Bogu, czyli widocznie tak ma być. Wyniki przyjęłam ze spokojem. Modlitwa i słowa „Jezu, ufam Tobie” dały mi pokój serca. Zastanawiałam się, czy jeszcze dziś umówić się na wizytę do reumatologa... Ale tak bardzo nie chciało mi się już tego robić. Mama z siostrą też uważały, że lepiej teraz odpuścić i spędzić czas z rodziną z dala od tych lekarzy, badań. Tak zrobiłam. W głębi serca czułam, że jeśli są obecne prążki, to jakby potwierdzenie stwardnienia rozsianego, a nie żadnej choroby tkanki łącznej. Nie czułam już strachu ani lęku. Wiedziałam, że tego dnia te wyniki są zgodne z wolą Bożą.

**24 grudnia 2019 roku**

 Przed wieczerzą wigilijną ponownie upadłam. Znowu nie wiedziałam jak to się stało, ale nie utrzymałam równowagi na podłodze w pokoju. Byłam cała poobijana. Od razu poleciała mi łza, ale postanowiłam, że nie będę płakać w takim dniu. Była wigilia, cud narodzin. Chciałam tak jak co roku spędzić czas z rodziną i nie myśleć o chorobie.

**31 grudnia 2019 roku**

 Po raz kolejny nie mogłam włożyć zakupów do torby, wypadały mi z rąk produkty. Potem nie mogłam wyjąć karty bankowej z portfela. Ekspedientka powiedziała: „ale ma pani dziś peszek”.

Nic nie odpowiedziałam. Chciałam, żeby to był tylko „peszek”. Zrozumiałam, jak już jest ze mną źle.

**2 stycznia 2020 roku**

 Odbyła się prywatna wizyta u reumatologa.Lekarka po dogłębnym wywiadzie i szczegółowym badaniu stwierdziła braku wystarczających cech na chorobę układowej tkanki łącznej. Przychyliła się do opinii się, że to stwardnienie rozsiane. Ostateczną diagnozę musiał postawić neurolog.

Dla mnie było już wszystko jasne. To SM...

**8 stycznia 2020 roku**

 Nie byłam zarejestrowana do mojej neurolog, ale przyszłam do poczekalni jako jedna z pierwszych osób. Pamiętałam, jak lekarka mi powtarzała, że mogę zawsze do niej przyjść, nawet bez rejestracji, bo mnie przyjmie bez problemu. Miałam nadzieję, że tak się stanie. Tego dnia źle się czułam, przeziębienie dawało się we znaki. Jeden pan przepuścił mnie przed sobą. Żaden z innych pacjentów nie burzył się, chociaż wszystkim mówiłam, że nie jestem zarejestrowana.

Lekarka od razu mnie przyjęła. Zobaczyła wyniki i przeczytała decyzję reumatologa. Od razu wypisała skierowanie do poradni SM z prośbą o leczenie. Dodawała mi otuchy. Tak słabo się czułam, że nawet napis czarno na białym „stwardnienie rozsiane” nie wywołał u mnie już ani jednej łzy...

**9 stycznia 2020 roku**

 Od rana zaczęłam dzwonić do szpitala Copernicus, tak jak zaleciła neurolog. Niestety terminy okazały się odległe, dopiero na przełomie listopada i grudnia. Tak długo miałam czekać na leczenie? Obawiałam się, że do tego czasu mógłby pojawić się rzut choroby… Na dodatek w rejestracji powiedziano, że mam uzupełnić coś w skierowaniu, więc musiałam pójść ponownie do lekarki. Nawet nie mogłam ustalić konkretnej daty leczenia przez te problemy ze skierowaniem… Byłam zła.

**11 stycznia 2020 roku**

 Wieczorem dostałam wiadomość od Asi, żebym zaczęła odmawiać nowennę do świętego Charbela w celu uzyskania szybkiego leczenia stwardnienia rozsianego. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale zaczęłam się o to modlić.

**13 stycznia 2020 roku**

 Zapisałam się do stowarzyszenia dla osób ze stwardnieniem rozsianym. Przekazano mi, że 27 stycznia odbędzie się konferencja dotycząca programów lekowych dla chorych z SM.

Do południa pojechałam do Centrum Medycyny Nieinwazyjnej w Akademii Medycznej, jak mi polecono w rejestracji ogólnej szpitala. Terminy były na lipiec. Byłam załamana, że nadal tak długo musiałabym czekać... Poprosiłam, żeby znaleźli jakiś wcześniejszy termin, bo chciałabym wrócić do pracy od września. Na szczęście znalazł się termin w maju.

Wieczorem dzwoniłam do Copernicusa. Bardzo miła pani zaproponowała termin aż na 17 grudnia, ale powiedziała, że do doktora Waldemara Fryze, warto poczekać. Jest on najlepszym specjalistą od stwardnienia rozsianego.

Nie dawało mi jednak spokoju, że to odległe terminy, dlatego postanowiłam skorzystać z ostatniej deski ratunku. Napisałam maila do znajomego neurologa, rodzica mojego byłego wychowanka, z pytaniem o radę w sprawie programów lekowych na SM. Tego dnia nie dostałam odpowiedzi.

**15 stycznia 2020 roku**

 Piątego dnia nowenny miałam ogromne zniechęcenie do modlitwy. Chciałam ją przerwać odmawiać... Czułam się coraz gorzej. Po raz kolejny zastanawiałam się, ile sił musi mieć chory człowiek, żeby walczyć o leczenie dla siebie...

**18 stycznia 2020 roku**

 Rano jak tylko się obudziłam, przypomniały mi się słowa Asi i znajomej pani o mszach dla chorych z namaszczeniem olejem. Sprawdziłam i okazało się, że akurat tego dnia odbywają się w mojej parafii. Podczas namaszczania odczułam takie ciepło, jakby rozchodzące się od wewnątrz. To było dziwne uczucie…

 **19 stycznia 2020 roku**

 W niedzielę odmówiłam ostatni dzień nowenny do świętego Charbela. Odczułam wtedy błogi spokój. Zdziwiłam się bardzo, kiedy po pięciu minutach, otrzymałam smsa od neurologa, do którego wysłałam wcześniej maila. Jak tylko to zobaczyłam, serce zaczęło mi szybciej bić. Czułam, że coś zaczyna się dziać…

Neurolog zaproponował, że jego koledzy ze Szpitala Marynarki Wojennej mogą się mną zająć i zostanie mi przyznany program lekowy we wcześniejszym terminie niż maj. Miałam przyjść za dwa dni na konsultacje do ordynatora zajmującego się stwardnieniem rozsianym. Skakałam z radości! Rozpłakałam się ze szczęścia. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Dziękowałam Bogu, że mam szansę na darmowe leczenie. Wiele osób cieszyło się razem ze mną się. Wtedy też dowiedziałam się, ile moich bliskich modliło się za mnie.

**21 stycznia 2020 roku**

 Zjawiłam się na ustalone konsultacje. Było kilku specjalistów. Przejrzeli moje wszystkie dokumenty. Stwierdzili, że przyjmą mnie do szpitala na pięć dni, zrobią wszystkie aktualne badania do programu lekowego i postawią przysłowiową „kropkę nad i”. Kiedy ordynator sprawdzał dostępne terminy, okazało się, że akurat ktoś zrezygnował i zrobiło się wolne miejsce w szpitalu w dniu 27 stycznia. Znajomy neurolog mówił, że teraz w Gdańsku zaopiekują się mną, a potem już dalszą opiekę dostanę w Skarszewach. Okazało się bowiem, że akurat jedna z lekarek z tego szpitala pracuje również w moim rodzinnym mieście. Odczułam wielką radość. Pomyślałam, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. Wierzyłam, że to będzie początek mojej poprawy zdrowia.

Zaczęłam odmawiać nowennę „Jezu, ufam Tobie”, która przez ostatnie miesiące bardzo pomagała mi podczas najtrudniejszych chwil w moim życiu, kiedy ból nie był do wytrzymania.

**22 stycznia 2020 roku**

 Odbyło się kontrolne usg jamy brzusznej. Okazało się, że większość polipów w pęcherzyku żółciowym zniknęła. Zostały tylko dwa, bardzo małe. Stan po operacji plastyki wodonercza był dobry, bez powiększonej miedniczki. Wreszcie po tylu kontrolach była poprawa!

Dzięki Bogu.

**27 stycznia 2020 roku (uroczystość świętej Anieli, patronującej osobom niedomagającym, chorym i niepełnosprawnym)**

 Pierwszy raz przyjechałam do szpitala bez żadnego stresu. Dojazd miałam zapewniony dzięki pomocy Ani i jej rodziny. Czułam, że teraz lekarze mi pomogą. Wierzyłam, że Bóg działał i moje dolegliwości zahamują się dzięki otrzymanemu tu leczeniu. Byłam szczęśliwa. Po wywiadzie i badaniu fizykalnym, neurolodzy potwierdzili, że mam stwardnienie rozsiane. Usłyszałam, że moje objawy, wyniki badań są wręcz podręcznikowe. Potwierdzony niedowład i brak odruchu brzusznego były charakterystyczne dla SM. Lekarz powiedział, że niewielka liczba ognisk w mózgu kwalifikuje mnie do programu lekowego. Cieszyłam się, ale momentami irytowała mnie ta radość lekarzy, że wszystko książkowo pasuje do stwardnienia rozsianego. Głęboko w sercu miałam małą nadzieję, że to jednak nie jest SM...

**28 stycznia 2020 roku** (uroczystość świętego Tomasza z Akwinu)

 Rano na obchodzie lekarskim, ordynator oddziału przekazał, że program lekowy wdrożą mi od 3 lutego. Dodali, że będę otrzymywała tabletki. Ucieszyłam się bardzo, że nie będę musiała dostawać leku dożylnie.

Czekały mnie jeszcze tego dnia wszystkie kontrolne badania, oprócz punkcji. Najpierw zrobiono mi tomografię oka (OCT) i badanie pola widzenia. Wyniki wskazywały na przebyte zapalenie nerwu wzrokowego (typowe dla SM).

Podczas badania dna oka nie wykryto znamienia! Nie było żadnego śladu po nim! Okulista wiele razy sprawdzał, ale nie było! Uśmiechnęłam się, bo czułam, że Bóg cały czas działa i to wszystko dzięki niemu. Uznałam, że to początek mojego zdrowienia…

Tego dnia też miało być zrobione badanie MRI i Vep-y, ale nagle przeniesione zostały to na kolejny dzień.

**29 stycznia 2020 roku (imieniny Anieli)**

 O 8.00 miałam mieć badanie rezonansu magnetycznego głowy. Zanim na nie poszłam, odmówiłam modlitwę z ostatniego dnia nowenny „Jezu, ufam Tobie”.Potem zaprowadzono mnie na badanie Vep-ów. Po 13.00 ordynator oraz prowadzący lekarz i inne lekarki przyszli zbadać mnie ponownie. Ze zdziwieniem komentowali, że wcześniej nie miałam poprawnego czucia po tej stronie ciała. Pierwszy raz w życiu poczułam odruch brzuszny! Stwierdzili, że diagnoza SM jest teraz wątpliwa, bo Vep-y i rezonans wyszły prawidłowo. W celu ustalenia diagnozy, musieli zrobić mi punkcję lędźwiową.

 Lekarz obiecał, że tym razem po punkcji nie będzie mnie tak długo bolało. Od razu zawieziono mnie do gabinetu zabiegowego. Ciągle w myślach powtarzałam „Jezu, ufam Tobie”.

Po punkcji dwie pielęgniarki z wielką trudnością pobrały mi kilka ampułek krwi. Byłam bardzo osłabiona. Pacjentki z pokoju dawały mi czekoladę, żebym nabrała energii. A ja ciągle się zastanawiałam o co tu chodzi... Miałam mętlik w głowie. Myślałam nawet, że szatan mąci tu coś, żebym nie dostała tego programu lekowego. Ale potem pojawiła się od razu myśl… Może nie będę potrzebowała tego leczenia, bo… zostałam uzdrowiona! W głębi serca czułam, że już nie mam stwardnienia rozsianego!

 Na wieczornym obchodzie neurolog oznajmił mi, że płyn mózgowy z punkcji przesłano do Krakowa, a wyniki będą za około dwa tygodnie. Potwierdził, że prawdopodobnie to nie jest stwardnienie rozsiane, dlatego nie mogą mi wdrożyć programu lekowego, bo mogłoby mi to zaszkodzić. Przypuszczali nową diagnozę: choroba suchości.

Ucieszyłam się, że przesłano wszystko do Krakowa, bo to w mieście, w którym modliłam się przy relikwiach bł. Anieli Salawy. Zaczęłam ponownie z radością modlić się za Jej wstawiennictwem, żeby te prążki oligoklonalne, typowe dla SM, zniknęły. Chociaż już podświadomie czułam, że już nie mam SM!!!

**31 stycznia 2020 roku (wspomnienie św. Jana Bosko)**

 Mój pobyt w szpitalu przedłużył się, zdiagnozowano tężyczkę utajoną. Pacjentki z mojej sali, widząc co się dzieje, mówiły, że powinnam iść na kolanach do Częstochowy i dziękować Bogu, że nie mam stwardnienia rozsianego. Tak samo jak ja, czuły, że SM zniknęło.

**2 lutego 2020 roku (Ofiarowanie Pańskie, Matki Boskiej Gromnicznej)**

 Ból popunkcyjny był na tyle znośny, że mogłam pojechać nad morze. Lekarz miał rację, nie bolało mnie tak jak poprzednio. Dzięki Bogu!

**3 lutego 2020 roku**

 Ból głowy i kręgosłupa był coraz słabszy. Poszłam do kina. Okazało się, że mój wzrok się poprawił! Pierwszy raz od pięciu lat widziałam napisy z ostatniego rzędu bez okularów! Dzięki Bogu!

**11 lutego 2020 roku (święto NMP z Lourdes, światowy Dzień Chorego)**

 Oczekiwałam na wyniki. Poszłam na kolejną mszę dla chorych z namaszczeniem olejem. Poczułam ciepło rozchodzące się od rąk przez całe ciało.

**17 lutego 2020 roku**

 Od dwóch dni zaczęłam się źle czuć, przyszło duże zmęczenie. Zaczęły przychodzić dziwne myśli, czy coś nie tak zaczyna się dziać… Ale wtedy Bóg postawił mi na drodze dwie osoby, które mnie pocieszyły. Uważały też, że cud się stanie. Jedna z koleżanek dodała, że skoro teraz cisza i nie ma żadnych wieści ze szpitala, to Bóg działa. Te słowa bardzo mi pomogły. Od razu przeszło mi zwątpienie.

**19 lutego 2020 roku**

 Tego dnia czułam, że są już wyniki. Nie pomyliłam się. Zadzwonił lekarz, że mogę już odebrać wypis ze szpitala. Nie zdradził, czy ma dla mnie dobre wiadomości czy nie, ale i tak poczułam ogromny spokój i radość. Wierzyłam, że prążki oligoklonalne zniknęły. Nie spieszyłam się, żeby pojechać po ten wypis. Umówiłam się, że dopiero następnego dnia to zrobię. Po prostu tak bardzo czułam, co mi powie ten lekarz. Zero stresu, sto procent spokoju i radości.

**20 lutego 2020 roku**

 Wreszcie był ten dzień! Rano wstałam pełna energii. Cieszyłam, że mogę założyć buty na obcasie, bo już nie mam problemów z równowagą. Te kilkanaście dni różnicy, a już czułam, że prawie wszystkie dolegliwości mi minęły.

Kiedy weszłam do szpitala, zaczęłam się trochę stresować. Pojawiły się dziwne myśli, co lekarz mi powie... Wreszcie po chwili oczekiwania, neurolog zaczął rozmowę: „pani próbka była dobrze oznaczona, nie ma mowy o żadnej pomyłce. Ufam moim technikom, a nasze urządzenia są nowoczesne… nie wiem gdzie i jak wcześniej panią badano i leczono, ale nie wykryto w płynie mózgowym prążków oligoklonalnych, świadczących o SM. Jest to niemożliwe z punktu medycznego, żeby w ciągu roku zniknęły, a co dopiero w ciągu miesiąca i to bez żadnego leczenia. Jedno jest pewne, że nie ma pani stwardnienia rozsianego.”

Wtedy pomyślałam, że dla medycyny niemożliwe, a dla Pana Boga nie ma rzeczy niemożliwych! Lekarz nie potrafił mi wyjaśnić, jak to się mogło stać. Nie mógł zrozumieć skąd w tomografii oka było potwierdzenie uszkodzenia siatkówki. Razem z innymi neurologami zaproponowali kolejną konsultację z reumatologiem.

Dla mnie było wszystko jasne, z radością wyszłam ze szpitala. To, co czułam w Krakowie, to tu się ziściło. Myślałam, że dostanę tu odpowiednie leczenie, po którym dolegliwości zahamują się, a dostałam coś piękniejszego! Wyzdrowiałam! Asia i znajoma siostry powtarzały, że jeszcze będę opowiadała świadectwo uzdrowienia. I tak się stało! Tak samo słowa kolegi, okazały się prawdą. Powtarzał mi nieustannie, że mam cierpliwie czekać na diagnostykę. Miał rację. Cokolwiek się u mnie działo, miałam kolejne badania czy konsultacje, to zawsze mówił, żebym poczekała cierpliwie na diagnostykę. Gdy zobaczyłam wyniki ze szpitala, że są z laboratorium „Diagnostyka”, pomyślałam, że miał rację w stu procentach. Jego słowa nabrały dosłownego znaczenia. Po pięciu latach diagnozowania, leczenia, pogarszającego się stanu zdrowia, wyniki z „Diagnostyki”, to te, na które było warto cierpliwie czekać!

Od razu poszłam do kościoła podziękować Bogu za wszystko. Popłynęły mi łzy radości. Nie mogłam ich zahamować.

**24 lutego 2020 roku**

 Lekarka z Akademii Medycznej stwierdziła, że na chwilę obecną nie mam cech układowej choroby tkanki łącznej. Powiedziała, że nie mam w ogóle myśleć o tej chorobie, bo nie spełniam kryteriów.

**27 lutego 2020 roku**

 Na kontrolnej wizycie u kardiologa usłyszałam, że nie muszę już brać tabletek na wrodzoną wadę serca (zespół Barlowa), bo "serce pięknie pracuje". Wzruszyłam się.

Po powrocie zajęłam się praniem firanek, myciem okien, prasowaniem. Ze zdziwieniem zaobserwowałam, że mogłam to robić bez żadnego odpoczynku. Inaczej niż dotychczas, bez chronicznego zmęczenia. Największym zaskoczeniem i radością było, że niedowład prawostronny całkowicie minął. Ręka była sprawna i nie utrudniała mi w ogóle pracy. Natychmiast sprawdziłam, że ani ona ani noga nie opadały mi tak jak kiedyś. Wszystko, co wiązało się ze stwardnieniem rozsianym, zniknęło! Czułam się, jakbym dostała nowe życie. Jakby wszystko co dotyczy SM, zabrano z mojego organizmu. Płakałam ze szczęścia.

Moja neurolog stwierdziła, że będę miewała gorsze dni, ale to jak każdy człowiek i to nie mam się tym przejmować.

**13 marca 2020 marca**

 Parametry dotyczące tarczycy poprawiły się. Wynik na przeciwciała, które wskazywały na chorobę Gravesa- Basedowa okazał się ujemny! Były to ostatnie badania kontrolne, które miałam zrobić. Skakałam z radości! Wreszcie miałam spokój na dłuższy czas z pilnymi badaniami i konsultacjami. Czułam jakbym zakończyła jakiś etap w życiu i zaczęła nowe życie. Dopiero teraz zauważyłam jak do tej pory niedowład utrudniał mi życie, jak stwardnienie rozsiane dawało się we znaki. Teraz mój tak zwany „przełącznik energii” nie dokuczał mi.

 13 marca był dla mnie symbolicznym dniem. Pięć lat temu, w marcu 2015 roku, wszystko się zaczęło. Wzrok się pogorszył. Straciłam energię, musiałam na nowo uczyć się pokonywać każdy kilometr drogi, przyszło chroniczne zmęczenie, które było niezależne od wysiłku. Musiałam wtedy dostosować wszystko do mojego stanu zdrowia. Jakby jednego dnia moje życie zmieniło się o 180 stopni. Teraz w marcu 2020 roku odzyskałam energię i wzrok, które kiedyś miałam. Już nie wypadały mi rzeczy z rąk, moje pismo poprawiło się, nie wpadałam na ludzi, wreszcie odczuwałam zimno i zniknął ten przeszywający ból mięśni. Miałam wrażenie, jakby w mózgu ktoś mi wszystko oczyścił. Tak namacalnie czułam, jakby ktoś mi te ogniska wymazał. Odzyskałam dobrą koncentrację i pamięć. Znowu mogłam bez problemu robić zadania matematyczne, wszystko czego nauczyłam się kiedyś, znowu miałam „zakodowane” w głowie. Poprzypominały mi się szczegóły, o których już nie pamiętałam. Tak jakby ktoś mi przywrócił „pamięć wewnętrzną”. Wreszcie mogłam sprzątać, chodzić po schodach, spacerować godzinami bez odpoczynku. Znajomi nie mogli uwierzyć, że to wszystko robiłam bez zmęczenia. Po prostu cud! Często zwracano mi uwagę, że już nie mam wypisanego bólu na twarzy i nie widać cierpienia w oczach. Bardzo się cieszyłam, że od rana nie odczuwałam żadnego zmęczenia. A gdy już byłam osłabiona, to z konkretnego, uzasadnionego powodu. Tak normalnie, jak inni ludzie. Dostałam nowe życie! Uczyłam się inaczej żyć, sprawdzałam, co teraz mogę, jaka jest moja nowa odporność. Zaczynałam od początku poznawać siebie. A to wszystko dzięki Bogu, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych!

 Każdego dnia dziękuję Bogu za to wyzdrowienie i za to, czego mogłam doświadczyć. Gdyby nie modlitwa i wiara oraz pomoc najbliższych mi osób, załamałabym się. Latem 2019 roku, kiedy lekarze rozpoczęli mi diagnozować chorobę, miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie… Pewnej letniej nocy moja pięcioletnia siostrzenica dostała krwotoku z nosa. Przez długi czas nie można było zatamować krwi. Kiedy siostra jechała z córeczką do szpitala, cały czas modliłam się, reszta rodziny też, ale krwotok nie ustępował. Wtedy nie wytrzymałam i poprosiłam Pana Boga, że przyjmę i zaakceptuję stwardnienie rozsiane, ale ma zahamować krwotok u Zuzi. W tym momencie siostra napisała wiadomość, że zawracają i jadą już do domu, bo krwotok ustał. Odczułam spokój. Może też dlatego było mi łatwiej znieść diagnozę o SM i zaufać Panu...

 Z perspektywy czasu widzę, jaki to był plan Boski, jak Bóg działał. Każde ważne badanie i pobyt w szpitalu przypadały na jakiejś święto. A czytając biografię błogosławionej Anieli Salawy, zauważyłam, że data, kiedy przyjechałam pomodlić się do Częstochowy, 13.08.2019 roku, to rocznica jej beatyfikacji. Po dwóch latach również w nietypowy sposób, dowiedziałam się, że namaszczenie olejem dostałam z rąk księdza, który ma urodziny 9 września, tak samo jak bł. Aniela Salawa.

 Na początku nie rozumiałam, dlaczego tak się wszystko dzieje. Złościłam się, dlaczego na SOR-ze od razu nie zostałam w szpitalu. Zastanawiałam się, dlaczego w grudniu nie zaczęto leczenia. Dlaczego mój organizm był atakowany przez kolejne choroby? To wszystko musiało tak trwać, Bóg miał plan. I wszystko co było złe, Bóg zamienił w dobro.

  Mimo cierpień, przez ten ciężki czas, doświadczyłam wiele łask i dobrego. Tak bardzo wzmocniłam swoją wiarę i zacieśniłam relacje z rodziną! Zwiększyło się moje grono przyjaciół, spotkałam na swej drodze nowych wartościowych ludzi. Zrozumiałam jakich cudownych przyjaciół i życzliwych osób mam wokół siebie, na których zawsze mogę liczyć i którym na mnie tak bardzo zależy. Wszystkim bliskim, rodzinie, przyjaciołom, znajomym państwu z Częstochowy i Krakowa, a także lekarzom i pielęgniarkom z Akademii Medycznej i Marynarki Wojennej, koleżankom i kolegom z pracy, przełożonym oraz moim uczniom i nowo poznanym osobom w tym trudnym dla mnie czasie z całego serca za to dziękuję! Gdyby nie oni, nie wiem, jak potoczyłyby się moje losy. To, co zrobili dla mnie, jest bezcenne i żadne słowa nie wyrażą mojej wielkiej wdzięczności.

 Kiedy nie miałam już sił, zawsze pojawiła się na mojej drodze osoba, która mi pomagała i wspierała mnie. Nawet o pierwszej w nocy. Przez ten trudny czas wzrastała we mnie miłość, zniknęły wszelkie urazy do osób, które wcześniej mnie w jakiś sposób skrzywdziły. Przebaczyłam im, dzięki czemu poczułam, jakby moje serce „zalało” się miłością do nich. To co ciążyło na moim sercu, teraz zostało od tego uwolnione. Stałam się silniejszą osobą. Zobaczyłam, że mimo wielu ograniczeń nałożonych na moje ciało i mózg, potrafiłam tworzyć artystycznie, a we współpracy z uczniami i moimi absolwentami tworzyć naukowe prace, a przede wszystkim zaczęłam doceniać najdrobniejsze rzeczy. Chwała Panu za uzdrowienie!

Od tej pory staram nie martwić się codziennymi sprawami i problemami. Wszystko, co się dzieje i z czym mam trudności, oddaję Bogu. Wtedy nagle wszystko staje się łatwiejsze i ogarnia mnie spokój. Nawet kolejne choroby lepiej znoszę niż kiedyś.

Zrozumiałam, że często, gdy coś się dzieje niezgodnie z naszymi oczekiwaniami, to nie musi być coś złego. Być może Pan Bóg ma inny plan. I chociaż nam to trudno zrozumieć, to wszystko dzieje się po coś, zmierza do czegoś lepszego, czego jeszcze nie widzimy, ale co potem okazuje się piękniejsze. I w jednej chwili zamiast cierpienia i bólu pojawia się coś wspaniałego. Trzeba tylko ufać. Dlatego jak spóźnia się autobus, czekam ponad trzy godziny w poczekalni na badanie, albo muszę nagle trafić do szpitala itp., to nie martwię się. Potem okazuję się, że miałam kogoś spotkać w tym czasie, w tym miejscu, o innej porze itp.

Od czasu uzdrowienia czułam, że bł. Aniela Salawa upomina się o siebie. Wiele razy miałam wrażenie, jakby przynaglała mnie do czytania jej biografii, do opowiadania o niej innym. Zdarzało się, że czułam w sercu, komu jak i kiedy opowiedzieć o uzdrowieniu za jej wstawiennictwem. Miałam takie wrażenie, jakby Duch Święty działał.

 **W sierpniu 2020** roku uczestniczyłam w pielgrzymce do Częstochowy, z podziękowaniami za uzdrowienie. Ze względu na obostrzenia związanymi z pandemią było wiele trudności z dojazdem i z noclegami. Ale wszystko tak się ułożyło, że mogłam dwa dni iść pieszo w tej pielgrzymce. Po raz kolejny, **13 sierpnia** w rocznicę beatyfikacji bł. Anieli Salawy, pomodliłam się na Jasnej Górze. Tym razem z wielką siłą, bez zmęczenia, nawet po trzydziestu kilometrach z ogromną radością i ze łzami w oczach udało się dotrzeć do Częstochowy.

**13 sierpnia 2021 roku**, w trzydziestą rocznicę beatyfikacji bł. Anieli Salawy ponownie byłam na Jasnej Górze, razem z pielgrzymką kociewską. Wieczorem tego samego dnia, odwiedziłam Bazylikę Franciszkanów i pomodliłam się i podziękowałam przy relikwiach błogosławionej Anieli Salawy. Po raz kolejny odczułam tam radość i spokój.

**12 marca 2022** roku pojechałam z Asią do Bydgoszczy. Planowałam zwiedzić Bazylikę pw. św. Wincentego a Paulo, ale przypadkowo zawędrowałam do innego kościoła. Przy wejściu na stoliku leżały obrazki i informacje o bł. Anieli Salawie. Poczułam w sercu radość. Jakie było moje zdumienie, gdy zaczęła się msza i okazało się, że to z okazji **setnej rocznicy śmierci tej błogosławionej.** Wyleciała mi z głowy ta data. Pomyślałam, że Pan Bóg się zatroszczył, żebym znalazła się tego dnia na tej mszy w kościele pw. Wniebowzięcia NMP. Odczułam ogromną wdzięczność, że mogę w takim dniu być na tej uroczystości i po raz kolejny podziękować za uzdrowienie. Podczas mszy odbyło się uroczyste przyrzeczenie jednej osoby z Franciszkańskiego Zakonu Świeckich, której patronką jest bł. Aniela. Poczułam wtedy w sercu, że ta wspólnota być może jest mi przeznaczona… Zaczęłam dużo czytać o niej i pragnienie bycia w niej powiększało się. W kwietniu 2022 roku, po rekolekcjach „Prawdziwe Historie” postanowiłam, że pójdę na jedno spotkanie FZŚ, ale nie wiedziałam jeszcze w jakim miejscu… Najłatwiej byłoby w Gdyni, gdzie mieszkam i pracuję, ale serce nie potwierdzało tego. Pewnego dnia odczytałam listę z miejscami, gdzie odbywają się spotkania tej Wspólnoty w Trójmieście. I dopiero wtedy poczułam, że FZŚ na Morenie jest bliski mojemu sercu. Byłam w szoku, że akurat tam, tak daleko od mojego domu. Przemodliłam to i cały czas czułam, że mam tam pójść. Poprosiłam Boga o jakiś znak, że tak właśnie mam zrobić i mam pójść do FZŚ. Podczas wycieczki do Gietrzwałdu i Olsztyna ciągle pojawiał mi się obraz bł. Anieli. „Przypadkowo” pojechałam inną trasą powrotną i nie zdążyłam na pociąg. Czekając na następny, czułam, że mam wejść do pobliskiego kościoła, w którym zauważyłam duży obraz błogosławionej Anieli Salawy. Poczułam wtedy w sercu, że to kolejny znak. Daleko od mieszkania, od pracy, z utrudnionym dojazdem, ale postanowiłam zaufać Bogu i wybrać tę wspólnotę.

**31 maja 2022 roku**

Odwołałam zajęcia i pojechałam do kościoła pw. Bożego Ciała na Morenie. Dzięki Bogu zdążyłam. Nie wiedziałam w jakim dokładnie miejscu się odbywa spotkanie wspólnoty. Poprosiłam Pana Boga, żeby się tym zajął. W tym momencie przyszła jedna pani do kościoła, czytała ogłoszenia i chwilę się pomodliła. Zapytałam jej, czy może wie, gdzie odbywają się spotkania Franciszkańskiego Zakonu Świeckich. Okazało się, że ona właśnie tam idzie. Zaprowadziła mnie. Poczułam się tak swojsko, tak rodzinnie. Okazało się, że gdybym tydzień wcześniej przyjechała, to nie byłoby spotkania, bo odbywają się one dwa razy w miesiącu. Akurat tego dnia też odbyła się msza o nowe powołania do tego Zakonu. Czułam, że mam tam być i Pan Bóg mnie prowadzi.

**22 lipca 2022 roku**

Pojechałam na pielgrzymkę Franciszkańskiego Zakonu Świeckich na Jasną Górę, z okazji setnej rocznicy śmierci bł. Anieli Salawy. Podczas nocnego czuwania i mszy bardzo mocno odczułam, że ta Wspólnota to moje miejsce. Kiedy ksiądz przeczytał cytat bł. Anieli **„Panie, żyję, bo chcesz, umrę kiedy chcesz, zbaw mnie, bo możesz"**, bardzo się wzruszyłam. Łzy same mi leciały przez dłuższy czas.

W dniach **31 lipca – 13 sierpnia 2022 roku** uczestniczyłam w pieszej pielgrzymce na Jasna Górę. Chciałam w ten sposób podziękować za uzdrowienie z SM, idąc przez wszystkie czternaście dni pieszo. Kiedyś, 30 lipca 2019 roku bardzo chciałam pójść na całą pielgrzymkę… ale ból i stan zdrowia nie pozwalały. W tym roku miałam silne pragnienie i odczucie, że dam radę. Wcześniej zawsze mi coś przeszkadzało, żeby odbyć całą dziękczynną pielgrzymkę. Pandemia, badania, inne choroby itp. Teraz wszystko się złożyło, żeby pójść. A Pan Bóg zatroszczył się, żebym dała radę. Dla Boga nie ma nic niemożliwego. Po czternastu dniach, **13 sierpnia,** mogłam odwiedzić Matkę Boską Częstochowską, pełna wdzięczności i łez wzruszenia. Bóg czuwał nad każdym dniem, Matka Boska opiekowała się. Każdy nocleg, każda napotkana osoba nie była przypadkowa. Pan Bóg stawiał mi osoby, którym miałam opowiedzieć o uzdrowieniu za wstawiennictwem bł. Anieli Salawy i które w rodzinie mają osoby ze stwardnieniem rozsianym lub osoby niepełnosprawne. Po raz kolejny dzięki łasce Bożej, mogłam od razu po pielgrzymce pojechać do Krakowa i odwiedzić grób bł. Anieli Salawy. Na miejscu wzruszyłam się i długo modliłam się przy grobie. Czułam bliską więź z tą błogosławioną. Gdy opuszczałam Kraków, wstąpiłam na chwilę do Rosarium św. Rity. Tam ujrzałam od razu słowa: „dla Boga nie ma nic niemożliwego”. Był to tytuł książki ks. Leszka Smolińskiego. Uśmiechnęłam się, bo bardzo bliskie są mi te słowa. ***Bóg jest najlepszym lekarzem, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.*** Chwała Panu!